

Richard Bach

„Mewa”

*„Prawdziwemu Jonathanowi,
który żyje w każdym z nas”*

Część Pierwsza

Był ranek.

Wschodzące słońce rozlało się złotą smugą po lekko pomarszczonej powierzchni morza.

Niedaleko brzegu wyrzucano z łodzi ryby na przynętę, a wieść o Zlocie na Śniadanie rozchodziła się błyskawicznie po okolicy, aż tysiące mew nadleciało, aby krążyć w powietrzu i walczyć o kęs pożywienia. Zaczynał się następny pracowity dzień.

W oddali zaś, hen ponad łodzią i brzegiem, ćwiczył samotnie Jonathan Livingston Seagull. Lecąc na wysokości trzydziestu metrów opuścił pokryte błoną stopy, uniósł dziób i wyteżył wszystkie siły, by utrzymać bolesny, sztywny, wygięty łuk skrzydeł. W ten sposób mógł szybować bardzo wolno. Zwalniał coraz bardziej, aż w końcu odgłos wiatru zniżył się do cichego szepotu, a ocean zamarł w dole. W intensywnym skupieniu Jonathan zmrużył oczy, wstrzymał oddech i wyginał skrzydła... w... jeszcze... trochę... większy... łuk... Nagle jego pióra zmierzwiły się, Jonathan przeciągnął i runął w dół.

Mewy, jak powszechnie wiadomo, nigdy nie tracą równowagi w powietrzu, nigdy nie przeciągają. Przeciągnięcie w locie jest hańbą i ujmą dla mewiego honoru.

Ale Jonathan Livingston Seagull, który bez cienia wstydu ponownie rozpościerał skrzydła w napięty, drżący łuk i szybując coraz wolniej i wolniej, przeciągał po raz wtóry, nie był zwykłym ptakiem.

Większości mew nie zależy na tym, by nauczyć się o lataniu czegoś więcej ponad to, co najprostsze - jak dostać się z brzegu do pożywienia i jak powrócić. To nie latanie, lecz jedzenie ma dla nich największe znaczenie. Dla Jonathana jednak właśnie sztuka latania była najistotniejsza. Nade wszystko uwielbiał latać.

Taki sposób myślenia, jak się przekonał, nie przysparzał mu popularności wśród innych mew. Nawet jego rodziców ogarniała konsternacja, kiedy eksperymentując, spędzał samotnie całe dnie na wykonywaniu setek ślizgów na małej wysokości.

Nie wiedział, na przykład, dlaczego tak się dzieje, że gdy leci na wysokości mniejszej niż połowa rozpiętości skrzydeł, jest w stanie utrzymać się w powietrzu dłużej i z mniejszym wysiłkiem. Wykonywane przez niego loty ślizgowe nie kończyły się zwyczajnym pluskiem opuszczonych nóg o wodę, lecz długą, płaską smugą, gdy z nogami ciasno przylegającymi do tułowia dotykał powierzchni morza. Gdy na plaży zaczął ćwiczyć podchodzenie w ślizgu do lądowania na brzuchu, a potem mierzył krokami długość śladu na piasku, konsternacja jego rodziców dosięgła szczytu.

— Dlaczego, Jon, dlaczego? — spytała go matka. — Dlaczego nie możesz upodobnić się do reszty stada? Dlaczego latania na małej wysokości nie zostawisz pelikanom i albatrosom? Dlaczego nie jesz? Jon, zostały z ciebie przecież same pióra i kości!

— Nie zależy mi na tym, jak wyglądam, mamu. Chcę tylko dowiedzieć się, czego potrafię dokonać w powietrzu, a czego nie. Chcę wiedzieć.

— Posłuchaj, Jonathanie — rzekł życzliwie ojciec. — Zima już niedaleko. Łodzi rybackich będzie coraz mniej, a ryby zaczną schodzić coraz głębiej. Jeśli chcesz się uczyć, ucz się jak zdobywać pożywienie. Nie mamy nic przeciwko twojemu lataniu, ale nie najesz się szybowaniem, prawda? Nie zapominaj, że latasz po to, żeby jeść.

Jonathan przytaknął posłusznie. Przez kilka następnych dni usiłował zachowywać się tak jak inne mewy; starał się bardzo, pokrzykując i walcząc wraz ze stadem wokół pomostów i łodzi rybackich, nurkując w pogoni za resztkami ryb i kawałkami chleba. Ale nie mógł się w tym odnaleźć.

Przecież to nie ma najmniejszego sensu, pomyślał, celowo upuszczając z trudem zdobytą sardelę tak, żeby złapała ją goniąca go stara, wygłodniała mewa. Mógłbym poświęcić cały ten czas na naukę latania. Muszę się przecież jeszcze tyle nauczyć.

Upłynęło niewiele czasu, a Jonathan Gull znów latał samotnie nad pełnym morzem, szczęśliwy, głodny, pochłonięty nauką.

Tematem była prędkość i po tygodniu ćwiczeń wiedział o niej więcej niż najszybsza mewa na Ziemi.

Machając z całej siły skrzydłami, wszedł w przeraźliwie stromy lot nurkowy z wysokości trzystu metrów i szybko zrozumiał, dlaczego mewy nie wykonują nurkowania ze wspomaganiami skrzydeł. Po zaledwie sześciu sekundach mknął z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. W locie z taką szybkością miewie skrzydło traci stabilność podczas ruchu w górę.

Powtarzało się to przy każdej następnej próbie. Mimo to, że Jonathan był uważny i wykorzystywał pełnię swoich możliwości, tracił panowanie nad ciałem w locie z dużą prędkością. Wspiął się na trzysta metrów, rozpędził z całą mocą wprost przed siebie, następnie nadal uderzając skrzydłami, przechodził do pionowego nurkowania. W tym momencie lewe skrzydło ulegało przeciągnięciu przy wymachu w górę, Jonathan gwałtownie przechylał się w lewo, wyrównując, przeciągał prawe skrzydło, wystrzeliwał w prawo jak płomień i koziołkował w szaleńczym wirze korkociągu.

Na nic nie zdała się wyteżona uwaga przy unoszeniu skrzydła w górę. Próbował setki razy i zawsze gdy przekraczał sto dziesięć kilometrów na godzinę, zamieniał się w skłębioną masę piór, bezładnie zwałając się w morze.

Kluczem do zagadki, pomyślał cały ociekając wodą, jest pewnie utrzymywanie skrzydeł nieruchomo, gdy leci się z dużą prędkością. Najpierw rozpędzić się do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a potem usztywnić skrzydła.

Spróbował ponownie z sześciuset metrów. Położył się na skrzydło i pochyliwszy nisko dziób, zanurkował z szeroko rozpostartymi skrzydłami, które usztywnił, przekraczając osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Udało się, choć wysiłek był ogromny. Po zaledwie dziesięciu sekundach mknął z niewiarygodną prędkością stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Jonathan ustanowił miewi rekord świata szybkości!

Odniesiony sukces miał jednak krótki żywot. W chwili gdy Jonathan zaczął wyrównywać lot i zmienił kąt natarcia skrzydeł, spotkała go ta sama straszna, nieunikniona klęska. Przy stu czterdziestu pięciu kilometrach na godzinę zderzenie z masą powietrza było jak wybuch dynamitu. Jonathan poczuł jak rozrywa go eksplozja i runął w twarde niczym kamień morze.

Kiedy się ocknął zapadły już ciemności. Unosił się na lśniącej w blasku księżyca powierzchni oceanu. Postrzępione skrzydła ciążyły mu jak ołów, lecz brzemie porażki wydawało się stokrotnie większe. W cichości ducha żałował, że nie pociągnie go ono na dno i nie położy wszystkimu kresu.

Gdy tak pograżał się w wodzie, odezwał się w nim dziwny, głuchy głos. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy, mówił. Jestem tylko mewą. Ogranicza mnie moja natura. Gdybym

rzeczywiście miał poznać wszystkie tajniki latania, posiadałbym specjalne zdolności. Gdybym miał szybko latać, moje skrzydła byłyby krótkie jak skrzydła sokoła i żywiłbym się myszami, a nie rybami. Ojciec miał rację. Muszę zapomnieć o tych niedorzecznościach, wrócić do Stada i zadowolić się tym, kim jestem — biedną, zwykłą mewą.

Kiedy głos umilkł, Jonathan podjął decyzję. Mewy nocują na brzegu, a od tej chwili przyrzekł sobie zachowywać się jak każda normalna mewa. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Ciężko poruszając skrzydłami, oderwał się od ciemnej wody i skierował w stronę lądu, wdzięczny sobie za to, czego nauczył się o oszczędzającym wysiłku lataniu na małej wysokości.

Jednak po chwili zreflektował się. Skończyłem z tym, kim byłem. Skończyłem ze wszystkim, czego się nauczyłem. Jestem mewą jak wszystkie inne mewy i będę latał tak jak one. Wspiął się zatem mozolnie na trzydzieści metrów i mocniej uderzając skrzydłami, leciał w stronę brzegu.

Postanowiwszy, że upodobni się do reszty Stada, poczuł się lepiej. Sądził, że zniknie wreszcie ta niepojęta siła pchająca go ku nieustannemu odkrywaniu. Nie będzie już nowych wyzwań ani nowych klęsk. Podobało mu się, że mógł przestać myśleć i spokojnie szybować w ciemności ku światłom ponad plażą.

W ciemności! — zachrypiał ostrzegawczo głuchy głos. Mewy nigdy nie latają w ciemności!

Ale Jonathan nie zważał na ostrzeżenia. Jest tak pięknie, myślał. Księżyc i światła migoczą na wodzie, wybiegając w noc wąskimi szlakami, wszystko takie ciche i spokojne...

Na dół! Mewy nigdy nie latają w ciemności! Gdybyś miał latać w nocy, twoje oczy byłyby tak bystre jak oczy sowy! Miałbyś specjalne zdolności! Miałbyś krótkie, sokole skrzydła!

Tejże nocy, lecąc trzydzieści metrów ponad morzem, Jonathan Livingston Seagull doznał olśnienia. Ból, zmęczenie, wcześniejsze postanowienia — wszystko zniknęło.

Krótkie skrzydła. Krótkie, sokole skrzydła!

Przecież to jest właśnie odpowiedź, której szukałem. Jaki byłem głupi! Wystarczą małe skrzydła; wystarczy, że złożę większą część skrzydeł i będę lecieć tylko na samych końcówkach. Krótkie skrzydła!

Wzbił się sześćset metrów ponad czarne morze. Bez chwili wahania, nie myśląc o porażce i śmierci, przyciągnął wewnętrzną część skrzydeł mocno do ciała i wysunawszy jedynie wąskie, skośne ostrza końcówek, rzucił się w pionowy lot nurkowy.

Potworny ryk powietrza omiatał mu głowę. Nabierał prędkości: sto dziesięć, sto czterdzieści, sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, wciąż coraz szybciej. Naprężenie skrzydeł przy dwustu dwudziestu było mniejsze niż przedtem przy stu dziesięciu kilometrach na godzinę, a niewielkie skręcenie końcówek pozwoliło mu łagodnie wyjść z lotu nurkowego. Jonathan przemknął ponad falami w blasku księżyca niczym szara kula armatnia.

Zmrużył powieki, zostawiając tylko wąskie szparki, żeby ochronić oczy przed pędem powietrza. Rozpierała go radość. Dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę! Lot w pełni kontrolowany! Gdybym tak zanurkowałem z tysiąca pięciuset metrów, ciekawe jak szybko...

Niedawne postanowienia poszły w zapomnienie, rozwiane potężnym, gwałtownym podmuchem. Ale nie czuł się winny, choć łamał złożone sobie obietnice. Obietnice takie czynią jedynie mewy, które poprzestają na przeciętności. Te, które odnalazły doskonałość w nauce, nie potrzebują ich składać.

O wschodzie słońca Jonathan ponownie rozpoczął ćwiczenia. Widziane z wysokości tysiąca pięciuset metrów łodzie rybackie przypominały cętki na płaskiej tafli błękitnego morza, a Złot na Śniadanie majaczył w oddali jak wirujący obłok pyłków kurzu.

Drżał z zachwytu, podekscytowany i dumny z umiejętności opanowywania lęku. Bez ceremonii stulił wewnętrzną część skrzydeł, wysunął krótkie, zakrzywione końcówki i dał

nura prosto w stronę morza. Zanim przekroczył pułap tysiąca trzystu metrów, osiągnął maksymalną prędkość. Wiatr zmienił się w jednolity, pulsujący mur dźwięku, który uniemożliwiał mu rozwinięcie większej szybkości. Pędził prosto w dół ze stałą prędkością trzystu czterdziestu dwóch kilometrów na godzinę. Z trudem przełknął ślinę, uświadomiwszy sobie, że gdyby przy tej prędkości skrzydła rozłożyły się, rozpadłby się na miliony malutkich, pierzastych strzępów. Lecz owa prędkość była siłą, była radością, czystym pięknem.

Na trzystu metrach zaczął wyprowadzać ciało z lotu nurkowego. Końcówki skrzydeł furkotały i wyginały się pod gigantycznym naporem powietrza. Wprost na drodze Jonathana tańczyły łódź i gromada mew, rosnąc z szybkością pędzącego meteoru.

Nie umiał się zatrzymać. Nie wiedział nawet jeszcze, jak skreca się przy takiej szybkości.

Zderzenie równałoby się śmierci.

Dlatego zamknął oczy.

Tego poranka, tuż po wschodzie słońca, Jonathan Livingston Seagull przemknął jak strzała przez sam środek Złotu na Śniadanie, sunąc z prędkością trzystu trzydziestu dziewięciu kilometrów na godzinę, z zaciśniętymi powiekami, ogłuszony przeciągłym wyciem wiatru i łopotem piór. Mewa Opatrzności uśmiechnęła się do niego tym razem. Nikt nie zginął.

W chwili gdy poderwał dziób ku niebu, gnał dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kiedy zwolnił do trzydziestu i mógł w końcu rozłożyć skrzydła, łódź rybacka majaczyła tysiąc pięćset metrów w dole niczym łupina orzecha.

Triumfował. Prędkość maksymalna! Mewa osiągnęła trzysta czterdzieści dwa kilometry na godzinę! Był to wielki, przełomowy moment w historii Stada i początek nowej ery w życiu Jonathana. Wyruszając do miejsca, w którym zwykł ćwiczyć samotnie, składając skrzydła, aby zanurkować z dwóch tysięcy pięciuset metrów, postanowił sobie, że nauczy się skręcać.

Nieznaczne poruszenie jednym piórem na końcówce skrzydła, jak wkrótce zauważył, pozwala na płynne opisanie szerokiego łuku nawet przy zawrotnej szybkości. Jednak zanim to odkrył, przekonał się, że poruszenie przy takiej szybkości więcej niż jednym piórem wprawi ciało w obroty niczym karabinową kulę... i tak oto Jonathan został pierwszym powietrznym akrobatą pośród wszystkich mew na ziemi.

Tego dnia nie poświęcał czasu na rozmowy z innymi mewami, lecz uczył się aż do późnego wieczora. Odkrył pętlę, sterowaną i akcentowaną beczkę, odwrócony korkociąg, wywrót i spiralę.

Późno w nocy Jonathan dołączył do Stada. Czuł się bardzo zmęczony, kręciło mu się w głowie. Mimo to, podchodząc do lądowania, zatoczył z przyjemnością pętlę i zakręcił szybką beczkę tuż przed przyziemieniem. Kiedy im opowie o dzisiejszym wyczynie, pomyślał, oszaleją z radości. Teraz dopiero warto żyć! Koniec z tym przepełnionym szarością, mozolnym fruwaniami do łodzi rybackich i z powrotem, nasze życie zyska nowy sens! Możemy wyzwolić się z ciemnoty i spojrzeć na siebie jak na istoty pełne zalet, inteligentne i uzdolnione. Możemy stać się wolni! Możemy nauczyć się latać!

Przyszłość mieniła się i jaśniała obiecująco. Kiedy wylądował, wszystkie mewy uczestniczyły w zebraniu Rady. Wyglądało na to, że radzono już od pewnego czasu, w rzeczywistości jednak czekali na niego.

— Jonathanie Livingston Seagull! Stań na Środku! — słowa Starszego brzmiały niezwykle uroczyście.

Wystąpienie na Środek oznaczało wielką hańbę lub wielki zaszczyt. Wyjściem na Środek, by dostąpić Zaszczytu, wyróżniano jedynie wybitnych przywódców. Na pewno, pomyślał, poranny Złot dostrzegł mój dzisiejszy wyczyn! Ale ja nie potrzebuję zaszczytów,

nie pragnę zostać przywódcą. Chcę tylko podzielić się tym, co odkryłem, otworzyć przed nami nowe horyzonty. Uczynił krok naprzód.

— Jonathanie Livingston Seagull — rzekł Starszy. — Stań na Środku! W obecności twoich współpracowników okrywamy cię hańbą...

Poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Nogi się pod nim ugięły, pióra opadły z rozpaczy, zaszumiało w uszach. Hańbą?! — pomyślał. Nie, to niemożliwe! A dzisiejszy wyczyn?! Nic nie rozumiem! To nie tak, nie tak!

— ...za swoją lekkomyślność, nieodpowiedzialność — recytował poważny głos — pogwałcenie godności i tradycji Rodziny Mew...

Publiczne potępienie równało się wykluczeniu ze społeczności Stada i skazaniu na samotne życie na Dalekich Skałach.

...pewnego dnia, Jonathanie, zrozumiesz, że nieodpowiedzialność nie popłaca. Życie jest niewiadomą i jest niepoznawalne. Wiemy jedynie, że zostaliśmy umieszczeni na tym świecie, by jeść i by utrzymać się przy życiu tak długo, jak to możliwe.

Radzie Stada nie wolno odpowiadać, jednak podniesiony głos, który teraz zabrzmiał, należał do Jonathana.

— Nieodpowiedzialność?! Bracia! Kto jest bardziej odpowiedzialny niż ten, kto odnajduje i wierzy w głębszy sens życia. Przez tysiące lat uganiał się za rybami łbami, a teraz nasze życie ma nowy sens. Możemy poznawać, odkrywać, odnaleźć wolność. Dajcie mi szansę, pozwólcie pokazać sobie to, czego się nauczyłem...

Stado równie dobrze mogło być skałą.

— Więź Braterska została zerwana — wyrecytowały chórem mewy, przestały słuchać Jonathana i odwróciły się od niego.

Resztę swoich dni Jonathan spędził samotnie, za to wylatywał hen poza Dalekie Skały. Jedynym jego zmartwieniem była nie samotność, ale to, że inne mewy nie chciały uwierzyć we wspaniałość latania; że nie chciały przejrzeć i zrozumieć.

Z każdym dniem umiał coraz więcej. Odkrył, że nurkowanie ze złożonymi skrzydłami z dużą szybkością pozwala mu zdobyć rzadką i smaczną rybę, której ławice pływały trzy metry pod powierzchnią oceanu. Nie potrzebował już więc łodzi rybackich i suchego chleba, by przeżyć. Nauczył się także spać w powietrzu. Ustalając wieczorem kurs w poprzek wiatru od lądu, przebywał setki kilometrów od zachodu do wschodu słońca. Korzystając z tej umiejętności wewnętrznego sterowania lotem, wspinał się poprzez gęste morskie mgły ku jasnemu, oślepijącemu niebu, podczas gdy inne mewy kuliły się na ziemi, zaznając jedynie deszczu i mgły. Nauczył się unosić na grzbiecie silnych wiatrów daleko w głąb lądu, aby żywić się tam delikatnymi owadami.

To, o czym niegdyś marzył, by stało się udziałem całego Stada, spełniało się teraz tylko dla niego. Uczył się latać i nie żałował ceny, jaką za to zapłacił. Jonathan Seagull odkrył, że to nuda, lęk i gniew czynią życie mewy tak krótkim i, wyrzuciwszy je ze swoich myśli, przeżył naprawdę długie życie.

* * *

Przybyły pod wieczór. Zastały Jonathana, gdy szybował samotnie i spokojnie po ukochanym niebie. Dwie mewy, które pojawiły się obok jego skrzydeł, były czyste jak światło gwiazd, a bijący od nich blask jaśniał łagodnie i przyjaźnie na nocnym niebie. Najpiękniejsza była jednak umiejętność, z jaką leciały, utrzymując końcówki skrzydeł precyzyjnie w stałej odległości od Jonathana.

Bez słowa wystawił je na próbę, której nie przeszła dotąd żadna z mew. Skręcił skrzydła i zwolnił, tak że tylko jeden kilometr na godzinę dzielił go od przeciągnięcia. Dwie promienne mewy zwolniły gładko wraz z nim, utrzymując pozycję w szyku. Najwyraźniej znały się na lataniu z małą szybkością.

Jonathan złożył skrzydła, wykręcił beczkę i nurkując, przyspieszył do trzystu kilometrów na godzinę. Tamte podążyły za nim, pędząc w dół we wzorowym szyku. W końcu z całą mocą wystrzelił prosto w górę, wykonując długą, sterowaną beczkę. Uśmiechając się, dwie mewy zakreśliły beczkę wraz z nim.

Jonathan wyrównał do lotu poziomego i milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Bardzo dobrze. Kim jesteście?

— Jesteśmy z twojego Stada, Jonathanie. Jesteśmy twoimi braćmi. — W ich słowach brzmiała siła i spokój. — Przybyliśmy, aby poprowadzić cię wyżej, poprowadzić cię do domu.

— Ale ja nie mam domu. Nie należę do żadnego Stada. Jestem Banitą. Lecimy teraz na szczycie Wielkiego Wiatru Gór. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i nie będę mógł wznieść wyżej mojego starego ciała.

— Będiesz mógł, Jonathanie, ponieważ się uczyłeś. Ukończyłeś jedną szkołę, czas, byś rozpoczął następną.

Podobnie jak zdarzało się to w jego dotychczasowym życiu, tak i teraz zrozumienie rozjaśniło myśli Jonathana. Miały rację. Potrafił wzlecieć wyżej, a także nadszedł już czas, by powrócić do domu.

Ogarnął ostatnim, długim spojrzeniem niebo, tę wspaniałą, srebrzystą krainę, w której nauczył się tak wiele.

— Jestem gotów — rzekł w końcu.

Jonathan Livingston Seagull uniósł się razem z dwiema śnieżnobiałymi mewami, by po chwili rozpląnąć się na pogrążonym w całkowitej ciemności niebie.

Część Druga

Zatem tak wygląda Niebo.

pomyślał i mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Niezbyt stosownie jest poddawać osądowi zaświaty, gdy staje się w ich progach.

Lecąc od strony Ziemi ponad chmurami w zwartym szyku z dwoma świetlistymi mewami, spostrzegł, że jego ciało powoli nabiera tego samego blasku, jaki bije od jego towarzyszy. Tak, wciąż był tym samym Jonathanem Livingstonem Seagull żyjącym wiecznie za mgiełką swych złotych oczu, ale jego wygląd ulegał zmianie.

Nowe ciało zachowało mewi kształt, lecz unosiło się w powietrzu stokroć lepiej niż poprzednie. Teraz, pomyślał, z mniejszym wysiłkiem osiągnę większą szybkość, potroję moje najlepsze ziemskie osiągnięcia!

Pióra Jonathana jaśniały świetlistą bielą, nowe skrzydła były gładkie i doskonałe jak płytki polerowanego srebra. Uderzając nimi z coraz większą siłą, zaczął je z przyjemnością wypróbować.

Gdy osiągnął czterysta kilometrów na godzinę, zdał sobie sprawę, że zbliża się do maksymalnej prędkości w locie poziomym. Przy czterystu trzydziestu kilometrach na godzinę rozumiał, że nie może poruszać się szybciej. Poczul się lekko rozczarowany. Istniała granica możliwości nowego ciała. Mimo że przekroczył swój dawny rekord szybkości w locie poziomym, wiedział, że szybkość, z którą teraz leciał, była nową granicą, której przełamanie będzie wymagało ogromnego wysiłku. W Niebie, pomyślał, nie powinny istnieć żadne ograniczenia.

Chmury rozstały się, jego przewodnicy zawołali: „Szczęśliwego lądowania, Jonathanie”, po czym rozplynęli się w powietrzu.

Leciał ponad morzem ku poszarpanej linii brzegowej. W oddali nad skałami kilka mew wspinało się po grzbiecie wstępującego prądu powietrza. Dalej, na północy, na samej linii horyzontu majaczyło parę innych. Nowe obrazy, nowe myśli, nowe wątpliwości. Dlaczego jest tu tak mało mew? Niebo powinno roić się od mew! I czemu odczuwam to nagle zmęczenie? W Niebie mewy rzekomo nigdy się nie męczą ani nie śpią.

Gdzie ja to wszystko słyszałem? — zastanawiał się. Pamięć o życiu na Ziemi zacierała się. Ziemia była oczywiście miejscem, gdzie nauczył się wiele, lecz szczegóły traciły wyrazistość — jakieś niejasne wspomnienie walki o przetrwanie, wspomnienie banicji.

Kilkanaście mew, które unosiło się nad linią brzegową, nadleciało, by go powitać, ale żadna nie wypowiedziała słowa. Czuł tylko, że jest mile widziany, że jest w domu. Był to dla niego wielki dzień — dzień, którego świtania już nie pamiętał.

Skręcił, podchodząc do lądowania na plaży. Szybko machając skrzydłami, zatrzymał się tuż nad ziemią, po czym opadł lekko na piasek. Pozostałe mewy również wylądowały, żadna jednak nie poruszyła ani jednym piórkiem. Z szeroko rozpostartymi skrzydłami obróciły się do wiatru, potem zmieniły w jakiś sposób ułożenie piór i zatrzymały się w tym samym momencie, gdy ich stopy dotknęły ziemi. Choć była to przepiękna technika lotu, Jonathan czuł się zbyt zmęczony, żeby spróbować w niej swoich sił. Przycupnął na plaży i nadal nie wypowiedziawszy od opuszczenia Ziemi ani słowa, zapadł w głęboki sen.

W ciągu kilku następnych dni Jonathan przekonał się, że w nowym miejscu będzie musiał nauczyć się o lataniu równie wiele jak w życiu, które zostawił za sobą. Istniała jednak pewna różnica. Tutaj wszystkie mewy myślały tak jak on. Dla każdej z nich najważniejszym celem w życiu było dążenie i osiągnięcie doskonałości w tym, co lubiły robić najbardziej, czyli w lataniu. Były to wspaniałe ptaki, wszystkie bez wyjątku. Dzień w dzień spędzały długie godziny na ćwiczeniach, szkoląc się w zaawansowanej aeronautyce.

Przez długi czas Jonathan nie pamiętał o świecie, z którego pochodził, o miejscu, gdzie zamieszkiwało Stado, które nie dostrzegało radości płynącej z nauki latania, a skrzydeł używało jedynie po to, by zdobywać pożywienie. Jednak od czasu do czasu, na krótką chwilę, tamte wspomnienia powracały.

Odżyły one pewnego ranka, kiedy wraz ze swoim nauczycielem odpoczywał na plaży po przećwiczeniu szybkiej becзки wykonywanej ze złożonymi skrzydłami.

— Gdzie są wszyscy, Sullivan? — spytał cicho, całkiem swobodnie posługując się już telepatią, której tutejsze mewy używały zamiast skrzeków i pisków. — Dlaczego nie ma nas tu więcej? Tam, skąd pochodzę było...

— ...wiele tysięcy mew. Wiem. — Sullivan pokiwał głową. — Jedyna odpowiedź, jaka mi się nasuwa, Jonathanie, to ta, że jesteś prawdziwym wybrańcem, jednym na milion. Większość z nas odbyła tę drogę znacznie wolniej. Przechodziliśmy z jednego świata do drugiego, każdy z nich był niemal dokładnie taki sam jak poprzedni, zapominaliśmy natychmiast, skąd przybywamy, nie obchodziło nas, dokąd podążamy, żyliśmy chwilą. Czy wiesz, przez ile istnień musieliśmy przebrnąć, nim po raz pierwszy zaświtała nam myśl, że życie to nie tylko jedzenie, walka i władza w Stadzie? Tysiąc istnień, Jonathanie, dziesięć tysięcy! A następnie jeszcze sto zanim odkryliśmy coś takiego jak doskonałość i jeszcze sto nim zrozumieliśmy, że celem naszego życia jest odnalezienie jej i przekazanie tej wiedzy dalszym pokoleniom. Oczywiście ta sama zasada obowiązuje nas również teraz: wybieramy następny świat poprzez wszystko to, czego zdołaliśmy nauczyć się na tym. Nie nauczysz się niczego, a kolejny świat będzie podobny do poprzedniego — te same ograniczenia, te same ciężkie utrapienia, z którymi trzeba sobie poradzić. — Sullivan rozpostarł skrzydła i obrócił się dziobem do wiatru. — Lecz ty, Jon — dodał — nauczyłeś się za jednym razem tak wiele, że nie musiałeś odbywać długiej drogi poprzez tysiące światów, by znaleźć się tutaj.

Po chwili znów poderwali się w powietrze i ćwiczyli z zapalem. Beczka akcentowana w szyku sprawiała Jonathanowi dużo trudności, ponieważ po odwróceniu się na plecy musiał myśleć, wisząc głową w dół i odwracać krzywiznę jednego ze skrzydeł, i to w idealnej zgodności ze skrzydłem nauczyciela.

— Spróbujmy jeszcze raz — powtarzał Sullivan. — Spróbujmy jeszcze raz. — Aż w końcu orzekł: — Teraz dobrze.

Przystąpili wówczas do nauki odwróconej pętli.

Pewnego wieczoru mewy, które nie uczestniczyły w nocnych lotach, zbiły się w gromadkę na plaży i rozmyślały. Jonathan zebrał się na odwagę i podszedł do Starszego, o którym mówiono, że niedługo miał przenieść się w inny świat.

— Chiang... — zaczął lekko podenerwowany. Starszy spojrział na niego życzliwie.

— Tak, synu?

Podeszły wiek nie osłabiał Chianga, a wręcz przeciwnie, dodawał mu sił. Przewyższał on w powietrzu wszystkie mewy w Stadzie i zdobył umiejętności, które inni dopiero stopniowo zaczynali poznawać.

Chiang, ten świat nie jest jeszcze Niebem, prawda?

Blask księżyca oświetlił uśmiechnięte oblicze Starszego.

— Uczysz się na każdym kroku, Jonathanie Seagull — odparł.

— Co czeka nas poza tym światem? Dokąd zdążamy? Czy w ogóle nie ma takiego miejsca jak Niebo?

— Nie, Jonathanie, nie ma. Niebo nie jest miejscem, nie jest także czasem. Niebo to być doskonałym. — Chiang umilkł, a po chwili dodał: — Jesteś bardzo szybki, nieprawdaz Jonathanie?

— Tak... To znaczy... lubię prędkość — odparł speszony, ale dumny, że Starszy go zauważył.

— Zacziesz odczuwać Niebo, Jonathanie, w momencie gdy odczujesz doskonałą prędkość. A nie jest nią ani tysiąc kilometrów na godzinę, ani milion, nie jest nią nawet prędkość światła, gdyż każda liczba stanowi granicę, a doskonałość nie zna granic. Doskonała prędkość, synu, to być tam.

Bez ostrzeżenia Chiang w mgnieniu oka rozpląnął się w powietrzu i ukazał się na skraju wody dwadzieścia metrów dalej. Po chwili znów zniknął, by w ułamku sekundy pojawić się u boku Jonathana.

— To rodzaj zabawy — rzekł. Jonathan oniemiał z zachwytu. Pytania o Niebo poszły w zapomnienie.

— Jak to robisz? Co wtedy czujesz? Jak daleko można przenieść się w ten sposób?

— Możesz przenieść się w takie miejsce i w taki czas, w jaki sobie życzysz — odparł Starszy. — Byłem tu i tam, wtedy i teraz, wszędzie, dokąd poniosła mnie moja myśl. — Jego spojrzenie prześlizgnęło się po morzu, aż po linię horyzontu. — To dziwne — rzekł — ale mewy, które gardzą doskonałością dla podróżowania, nie podążają nigdzie, lecz te, które porzucają myśl o podróżowaniu w imię dążenia do doskonałości natychmiast znajdują się tam, gdzie pragną. Pamiętaj, Jonathanie, Niebo nie jest ani miejscem ani czasem, gdyż miejsce i czas nie mają znaczenia. Niebo jest...

— Czy mógłbyś nauczyć mnie tak latać? — Jonathan zadrżał na myśl o tym, że posiadzie następną tajemnicę.

— Oczywiście, jeśli chcesz się tego nauczyć.

— Tak, bardzo. Kiedy możemy zacząć?

— Możemy zacząć teraz, jeśli masz ochotę.

— Chcę nauczyć się latać w ten sposób. — W oczach Jonathana błysnęły jasne płomyki. — Powiedz, co mam robić?

Chiang mówił wolno, co pewien czas spoglądając uważnie na swojego młodego ucznia.

— Aby latać szybko jak myśl, w miejsca, w które ona podąża, trzeba rozpocząć od uświadomienia sobie, że się tam już dotarło...

Cała sztuka, według Chianga, polegała na tym, żeby Jonathan przestał myśleć o sobie jako o mewie uwięzionej w pełnym ograniczeń ciele, którego rozpiętość skrzydeł wynosi sto pięć centymetrów i którego osiągi można przedstawić w postaci wykresu; żeby zrozumiał, że jego prawdziwa natura żyje zawsze i wszędzie, doskonała jak niezapisana cyfra, w bezkresach kosmosu i czasu.

Dzień po dniu, zaczynając tuż przed świtem i kończąc po zachodzie słońca, Jonathan zawzięcie nad tym pracował. Ale pomimo wszystkich starań nie przemieścił się ani o grubość pióra.

— Nie czekaj na wiarę — powtarzał Chiang. — Nie potrzebowałeś wiary, by latać, wystarczyło jedynie zrozumieć istotę lotu. Z tym jest dokładnie tak samo. Teraz spróbuj jeszcze raz...

Wreszcie pewnego dnia Jonathan, przycupnął na brzegu, przymknął oczy, skupił się i w jednej chwili zrozumiał wszystko to, o czym mówił mu Chiang. Przecież to prawda! Jestem doskonałą i niczym nie ograniczoną mewą! Poczuł, jak zalewa go fala oszałamiającej radości.

— Dobrze! — zawołał Chiang, a w jego głosie zabrzmiała nutka zwycięstwa...

Jonathan otworzył oczy. Znajdowali się wraz ze Starszym na zupełnie nie znanym mu morskim brzegu. Drzewa ciągnęły się do samej wody, dwa żółte, bliźniacze słońca obracały się wysoko w górze.

— Nareszcie zrozumiałeś. — Musisz tylko popracować trochę nad techniką... — powiedział Chiang.

Jonathan stał jak osłupiały.

— Gdzie jesteśmy?

Starszy, na którym dziwne otoczenie nie wywarło żadnego wrażenia, zbył pytanie lakoniczną odpowiedzią:

— Najwyraźniej znajdujemy się na jakiejś planecie o zielonym niebie i podwójnej gwiazdzie zamiast słońca.

— TO DZIAŁA! — Jonathan wydał okrzyk zachwytu, pierwszy dźwięk, od kiedy opuścił Ziemię.

— Oczywiście, że działa — rzekł Chiang. — Dzieje się tak zawsze, jeśli zrozumiesz istotę tego, co robisz. A wracając do sprawy techniki...

Kiedy powrócili, było już ciemno. Pozostałe mewy wpatrywały się w Jonathana z podziwem w złocistych oczach, gdyż widziały, jak opuścił świat, z którym związany był przez tak długi czas.

Tylko na krótki moment Jonathan uległ milczącym gratulacjom.

— Jestem tu nowy — rzekł. — Dopiero zaczynam. To ja muszę uczyć się od was.

— Nie jestem tego taki pewien, Jonathanie — odparł Sullivan, podchodząc bliżej. — Nauka napawa cię mniejszym lękiem niż którąkolwiek z mew, które spotkałem na przestrzeni ostatnich dziesięciu tysięcy lat.

Stado umilkło, a Jonathan w zakłopotaniu zadreptał w miejscu.

— Jeśli chcesz, możemy teraz zacząć pracować nad czasem — rzekł Chiang — aż nauczysz się latać w przeszłość i w przyszłość. Wówczas będziesz mógł rozpocząć naukę rzeczy najtrudniejszej, najpotężniejszej i najprzyjemniejszej zarazem: będziesz gotów, by wznieść się wyżej i poznać znaczenie dobroci i miłości.

Minał miesiąc lub jakiś bliżej nie określony czas przypominający ziemski miesiąc. Jonathan szybko robił postępy. Zawsze czerpał dużo wiedzy z codziennych doświadczeń, od

kiedy jednak został wybranym uczniem Starszego, chłonał nowe myśli, jak gdyby był opierzonym komputerem o aerodynamicznych kształtach.

Ale wkrótce nadszedł dzień, w którym Chiang zniknął. Rozmawiał cicho ze wszystkimi, nalegał, aby nigdy nie zaprzestali swych starań w nauce i ćwiczeniach, aby nadal dążyli do pełniejszego zrozumienia doskonałego, niepisanego prawa wszelkiego istnienia. Wtem jego skrzydła zaczęły stawać się coraz jaśniejsze, aż bijący od nich blask oślepił wszystkie mewy.

— Jonathanie — rzekł Chiang i były to jego ostatnie słowa — pamiętaj, abys doskonalili się dalej w miłości.

Gdy blask zniknął, Chianga już nie było.

Mijały dni, Jonathan coraz częściej łapał się na tym, że wspomina Ziemię, ląd, z którego niegdyś przybył. Gdyby wtedy wiedział choć dziesiątą, setną część tego, co wiedział teraz, o ile większą wartość miałyby jego życie. Przycupnąwszy na plaży, zastanawiał się czy tam, na Ziemi, istnieje mewa, która pragnie przewyciężyć swoje ograniczenia i dostrzec w lataniu coś więcej niż sposób zdobywania okruchów chleba z łodzi rybackich. Możliwe nawet, że któraś mewa została skazana na samotne życie Banity za mówienie prawdy w obliczu Stada. I im więcej starań wkładał w naukę dobroci i poznanie istoty miłości, tym goręcej pragnął powrócić na Ziemię. Pomimo napiętnowanej samotnością przeszłości, powołaniem Jonathana było nauczanie innych. Przekazywanie przynajmniej części poznanej przez siebie prawdy mewie, która wyglądała choćby cienia szansy, by samej ją odkryć, było właściwym mu sposobem okazywania miłości.

Sullivan, który zdobywał doświadczenie w lataniu z szybkością myśli i pomagał innym w nauce, był odmiennego zdania.

— Jon — mówił. — Pamiętasz, jak skazano cię na życie Banity. Dlaczego myślisz, że któraś mewa z tamtych czasów wysłuchałaby cię teraz? Znasz to jakże prawdziwe przysłowie: „Ta mewa widzi najdalej, która wzlatuje najwyżej”. Mewy, od których przybyłeś, wrosły w ziemię, pośród skrzeków i pisków zaciekle walczą między sobą. Niebo znajduje się tysiące kilometrów od nich, a ty chcesz ukazać im je z miejsca, w którym teraz żyją? Jon, przecież one nie widzą końcówek swoich własnych skrzydeł. Zostań tutaj. Pomagaj nowym mewom, tym, które wzniosły się dość wysoko, by zrozumieć to, co masz im do powiedzenia.

Sullivan zamilkł, a potem dodał:

— Pomyśl tylko, co stałoby się, gdyby Chiang powrócił do swoich dawnych światów. Kim byłbyś teraz?

Ostatni argument okazał się rozstrzygający. Sullivan miał rację. Ta mewa widzi najdalej, która wzlatuje najwyżej.

Jonathan pozostał i poświęcił się pracy z nowymi, przybywającymi ptakami. Wszystkie były bardzo bystre i z łatwością nabywały nowych umiejętności. Ale tamto uczucie powracało i Jonathan nie mógł pozbyć się myśli, że może są na Ziemi jedna lub dwie mewy, które także byłyby w stanie się uczyć. O ile więcej wiedziałyby, gdyby Chiang przybył do niego w dniu, gdy został Banitą.

— Muszę wracać, Sully — oświadczył wreszcie. — Twoi uczniowie dają sobie świetnie radę. Pomogą ci wciągnąć nowo przybyłych.

Sullivan westchnął, ale nie protestował.

— Będzie mi ciebie brakowało, Jonathanie — powiedział tylko.

— Wstydz się, Sully! — zawołał Jonathan z naganą w głosie. — Nie gadaj głupstw! W czym staramy się ćwiczyć każdego dnia? Jeśli nasza przyjaźń zależy od przestrzeni i czasu, to gdy wreszcie je przewyciężymy, zniszczymy naszą braterską więź. Przewyciężymy przestrzeń, a wszystko, co pozostanie, jest TU! Przewyciężymy czas, a wszystko, co pozostanie, jest TERAZ! A czy nie uważasz, że gdzieś pomiędzy TU i TERAZ moglibyśmy się czasem widywać?

Sullivan roześmiał się mimo woli.

— Ach, ty szalony ptaku — rzekł ciepło. — Jeśli istnieje mewa, która potrafi nauczyć, jak dostrzec z ziemi miejsca oddalone o tysiące kilometrów, jest to Jonathan Livingston Seagull. — Sullivan spuścił wzrok. — Do widzenia, Jon, przyjacielu.

— Do widzenia, Sully. Jeszcze się kiedyś spotkamy — powiedział Jonathan i przywołał z pamięci obraz wielkiego mewiego stada na brzegu innego czasu. Z nabytą podczas ćwiczeń łatwością uświadomił sobie, że nie istnieje w ciele z piór i kości, lecz jest doskonałym symbolem Wolności i Lotu, nie spętany żadnymi więzami.

* * *

Fletcher Lynd Seagull, choć jeszcze całkiem młody, wiedział już, że nikt nigdy nie został potraktowany tak surowo i tak niesprawiedliwie przez własne Stado. Nie dbam o to, co mówią, myślał gniewnie. Wzrok mącił mu się, gdy odlatywał w stronę Dalekich Skał. Latanie nie jest tylko bezmyślnym fruwaniem z miejsca na miejsce. To potrafi przecież nawet... nawet... mucha! Zakręciłem jedną niewinną beczkę wokół głowy Starszego, tak dla zabawy, a oni zsyłają mnie na Dalekie Skały?! Czy są ślepi? Czy rzeczywiście nic nie rozumieją? Czy nie dostrzegają chwały, jaka nas czeka, kiedy naprawdę nauczymy się latać? Nie dbam o to, co myślą. Pokażę im, na czym polega latanie. Zostanę prawdziwym Przestępcą, jeśli tego sobie życzą. Jeszcze będą bardzo żałować...

Naraz czyjś głos wtargnął w jego myśli. Mimo że był cichy i łagodny, wystraszył go tak bardzo, że Fletcher zachwiał się i na moment stracił równowagę w powietrzu.

— Nie oceniaj ich surowo, Fletcherze — mówił ów głos. — Wygnawszy ciebie, wyrządzili krzywdę samym sobie. Pewnego dnia uprzytomnia to sobie i dostrzegą to, co ty dostrzegłeś. Przebac i pomóż im zrozumieć.

Tuż obok, zaledwie kilka centymetrów od końcówki jego prawego skrzydła, leciała najpiękniejsza na świecie biała mewa. Bez wysiłku szybowała z prędkością bliską granicy możliwości Fletchera, nie poruszając ani jednym piórkiem.

W głowie młodego ptaka zakotłowało się.

— Co się dzieje? Czy oszalałem? Czy umarłem? Co to jest?

Niski, spokojny głos mówił dalej w jego myślach, tym razem żądając odpowiedzi.

— Fletcherze Lynd Seagull, czy chcesz latać?

— TAK, CHCĘ LATAĆ!

— Fletcherze Lynd Seagull, czy chcesz tego tak mocno, że wybaczysz Stadu, będziesz się uczył, a pewnego dnia wrócisz do niego i będziesz starał się pomóc mu w nauce?

Bez względu na to, jak bardzo był dumny i pokrzywdzony, nie potrafił okłamać tej wspaniałej, śmigłej istoty.

— Tak — odpowiedział łagodnie.

Zatem, Fletch — rzekła świetlista mewa, a jej głos brzmiał bardzo przyjaźnie. — Rozpocznijmy naukę od Prostego Lotu...

Część Trzecia

Jonathan wolno zataczał kręgi

ponad Dalekimi Skałami i patrzył. Młody, niespokojny Fletcher Gull okazał się prawie doskonałym uczniem. Był wytrwały, lekki i zwinny, a co o wiele ważniejsze, miał nieopisaną zapal do nauki.

Właśnie nadleciał niczym szary, wirujący kształt, wychodził z lotu nurkowego w przeraźliwym gwizdzie powietrza, śmigając tuż obok swojego nauczyciela z prędkością

dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Nagle gwałtownie wyskoczył w górę, wykonując kolejną próbę szesnastokrotnie akcentowanej, sterowanej beczki, odliczając głośno:

— ...osiem... dziewięć... dziesięć... spójrz, Jonathanie, tracę rozpęd... jednaście... chcę robić wyraźne przerwy tak jak ty... dwanaście... a niech to, nie dam rady... trzynaście... tym ostatnim trzem... bez... czterna... aaa!

Końcowy ślizg na ogon wyszedł mu jeszcze gorzej, gdyż na myśl o porażce ogarnęła go wściekłość i furia. Osunął się na plecy i koziółkując, runął z całą siłą w dół odwróconym korkociągiem, w końcu, trzydzieści metrów poniżej nauczyciela, wyrównał, z trudem łapiąc oddech.

— Tracisz ze mną czas, Jonathanie! Jestem zbyt tępy! Zbyt głupi! Próbuję i próbuję, ale nigdy mi się nie udaje. Jonathan spojrział w dół na niego.

— Oczywiście, że ci się nie uda — zgodził się — jeśli będziesz nadal tak ostro rwał w górę. Straciłeś co najmniej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę na samym początku, Fletcher. Musisz zaczynać płynnie. Zdecydowanie, ale płynnie, zapamiętasz?

Jonathan zsunął się w dół, na pułap młodej mewy.

— Spróbujmy teraz razem, w szyku. Zwróć uwagę na wyjście w górę. Początek powinien być płynny, spokojny.

W ciągu kolejnych trzech miesięcy Jonathan pozyskał sześciu następnych uczniów, Banitów z Dalekich Skał, zaciekawionych tym nowym, dziwnym pojmowaniem lotu jako radości samej w sobie.

Wykonywanie wyczynowych akrobacji przysparzało im jednak znacznie mniej trudności niż uzmysłwienie sobie ich głębszej wymowy.

— Każdy z nas jest w rzeczywistości obrazem Wielkiej Mewy, doskonałym obrazem Wolności — mawiał Jonathan podczas wieczorów na plaży. — Precyzyjne latanie jest krokiem ku pełniejszemu wyrażeniu naszej prawdziwej natury. Musimy odrzucić wszystko, co nas ogranicza. Po to właśnie te wszystkie ćwiczenia w lotach z małą i dużą prędkością, powietrzna akrobatyka...

A tymczasem uczniowie głęboko zasypiali, wyczerpani po całym dniu nauki. Lubili ćwiczenia, i gdyż były szybkie i ekscytujące, stanowiły również pożywkę dla ich głodu wiedzy, który rósł i z każdą nową lekcją. Ale żaden z nich, nawet Fletcher Lynd Gull, nie wierzył, że myśl może podróżować w równie rzeczywisty sposób jak wiatr czy mewy.

— Ciało każdego z nas, od jednej do drugiej końcówki skrzydeł — mawiał Jonathan innymi razami — jest jedynie naszą własną myślą w postaci dostępnej naszym oczom. Gdy zerwiemy pęta ograniczające myśl, zerwiemy także i te, które ograniczają ciało... — Jednak pomimo że tłumaczył to na najróżniejsze sposoby, w ich uszach brzmiało to jak przyjemne fantazjowanie, a przecież potrzebowali wtedy snu.

Niecały miesiąc później Jonathan oświadczył, że nadszedł czas, żeby wrócić do Stada.

— Ależ nie jesteśmy jeszcze gotowi! — zaprotestował Henry Calvin Gull. — Nie jesteśmy tam mile widziani. Jesteśmy Banitami. Nie możemy się zmuszać, żeby lecieć tam, gdzie nas nie oczekują.

— Wolno nam lecieć tam, dokąd chcemy, i być tym, kim jesteśmy — odparł Jonathan, poderwał się z plaży i skierował na wschód, w stronę ojczystych ziem Stada.

Przez chwilę uczniowie stali niezdecydowani. Prawo Stada zabraniało Banitom powrotu i przez dziesiątki tysięcy lat nikt nie odważył się go złamać. Prawo mówiło: zostań, Jonathan: leć. Poza tym oddalał się coraz bardziej. Jeśli będą ociągali się dłużej, sam dotrze do wrogo nastawionego Stada.

— Cóż, nie musimy przestrzegać prawa, nie będąc częścią Stada, prawda? — zauważył nieśmiało Fletcher. — A jeśli dojdzie do walki, będzie z nas większy pożytek tam niż tu.

Tego poranka nadlecieli z zachodu, ścieśnieni w ósemkę w szyku podwójnego rombu, trącąc się niemal końcówkami skrzydeł. Z prędkością dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę wpadli na Plażę Zebrań, Jonathan pędził na czele, tuż za nim, po jego lewej stronie sunął gładko Fletcher, po prawej Henry Calvin zawzięcie machał skrzydłami. W pewnej chwili cała grupa, chłostana uderzeniami wiatru, niczym pojedynczy ptak, zaczęła wolno kręcić beczkę w prawo... wyrównanie... odwrót... wyrównanie... odwrót.

Piski i skrzekliwe okrzyki, które towarzyszą codziennemu życiu Stada, urwały się raptownie, jak gdyby nadlatująca grupa była olbrzymim nożem. Osiem tysięcy mewich oczu bez mrugnięcia śledziło jej ruchy. Jeden za drugim, osiem ptaków wyszło ostro w górę, zawinęło pełną pętlę i opisawszy w powietrzu koło, zamarło w momencie, gdy ich nogi dotknęły piasku. Wówczas, tak jak gdyby tego rodzaju wydarzenia miały miejsce na co dzień, Jonathan zaczął oceniać lot.

— Po pierwsze — zaczął, uśmiechając się kwaśno — wszyscy mieli małe spóźnienie przy dołączeniu.

Stado zamarło w osłupieniu.

— Te ptaki to Banici! Wróciły do Stada! To jest... niemożliwe! — Ogólny zamęt sprawił, że pierzchła obawa, którą żywił Fletcher.

— Dobrze, może to są i Banici — odezwało się kilka młodych mew — ale gdzie nauczyli się latać w ten sposób?

Upłynęła prawie godzina, zanim Słowo Starszego zdążyło obieć całe Stado: zignorować. Mewa, która odezwie się do Banity, sama staje się Banitą; mewa, która spojrzy na Banitę, złamie Prawo Stada.

Od tej chwili szaropióre ogony zwracały się w stronę Jonathana, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Przeprowadzał ćwiczenia dokładnie nad Plażą Zebrań, po raz pierwszy zmuszając swoich uczniów do wysiłku na granicy ich możliwości.

— Martinie Gull! — krzyczał w poprzek nieba. — Twierdzisz, że znasz się na lataniu z małą szybkością? Nie znasz się na niczym, póki tego nie dowiedziesz. Leć!

Nieduży, cichy Martin William Seagull, przestraszony, że znalazł się w centrum uwagi nauczyciela, zadziwił samego siebie, stając się wirtuozem małej prędkości. Nawet przy najłżejszym powiewie wiatru potrafił tak ułożyć pióra, że bez najmniejszego poruszenia skrzydłami unosił się ku chmurom i opadał z powrotem na plażę.

Charles-Roland Gull szybował z Wielkim Wiatrem Gór na osiem tysięcy metrów, wracał siny od zimnego, rozrzedzonego powietrza, oczarowany i uszczęśliwiony, z postanowieniem, że następnego dnia polecą jeszcze wyżej.

Fletcher Seagull, który uwielbiał akrobatykę jak nikt inny, zwycięsko zmierzył się z szesnastokrotnie akcentowaną, sterowaną beczką, a następnego dnia uwieńczył ją potrójnym przewrotem, błyskając bielą piór w stronę plaży, z której niejedna para oczu obserwowała go ukradkiem.

Jonathan spędzał każdą chwilę u boku swoich uczniów, objaśniał, doradzał, wymagał i prowadził. Latał z nimi nocą, przez chmury i sztormy, dla zwykłej przyjemności, podczas gdy Stado zbijało się na ziemi w żalosne gromadki.

Po zakończeniu ćwiczeń, uczniowie odpoczywali na piasku, przysłuchując się z uwagą temu, o czym mówił Jonathan. Opowiadał im o wielu zwariowanych rzeczach, których nie rozumieli, ale również i o takich, które rozumieli doskonale.

Z biegiem czasu, zaczęła się nocami tworzyć druga grupa słuchaczy — grono przywiezionych ciekawością mew, które w ciemności godzinami słuchały Jonathana. Nie chciały nic widzieć i starały się, by ich nie zauważono, a potem znikaly przed świtem.

Mijał miesiąc od Powrotu, kiedy to pierwsza mewa ze Stada przekroczyła niewidzialną granicę i poprosiła, by nauczyć ją latać. Za ten czyn Terrence Lowell Gull został wyklęty przez Stado, obwołany Banitą oraz... przyjęty jako ósmy uczeń Jonathana.

Następnej nocy od strony Stada, ciągnąc po piasku lewe skrzydło, nadszedł chwiejnym krokiem Kirk Maynard Gull i upadł przed Jonathanem.

— Pomóż mi — wyszeptał bardzo cicho, tak jak mówią umierający. — Pragnę latać ponad wszystko w świecie.

— Chodź — rzekł Jonathan — oderwiemy się od ziemi i zaczniemy naukę.

— Nie rozumiesz. Spójrz na moje skrzydło. Nie mogę nim poruszyć.

— Maynardzie Gull, wolno ci być sobą, sobą prawdziwym, tu i teraz, i nic nie może stanąć ci na drodze. Takie jest Prawo Wielkiej Mewy, Prawo, Które Jest.

— Czy chcesz powiedzieć, że mogę latać?

— Chcę powiedzieć, że jesteś wolny.

Szybko i prosto jak za dotknięciem różdżki Kirk Maynard Gull rozpostarł skrzydła i z łatwością poderwał się ku czarnemu, nocnemu niebu. W chwilę potem jego wołanie, wykrzyczane ile tchu w piersi z wysokości tysiąca pięciuset metrów wyrwało Stado ze snu.

— JA LECE! SPÓJRZCIE! JA MOGĘ LATAĆ!

O wschodzie słońca prawie tysiąc ptaków tłoczyło się wokół grupy uczniów, przyglądając się ciekawie Maynardowi. Nie troszczyli się o to, że zostaną zauważeni, słuchali, starając się zrozumieć Jonathana.

Mówił o bardzo prostych rzeczach — o tym, że każda mewa ma prawo latać, że wolność leży w naturze jej istnienia, że gdy coś stoi na drodze do wolności, trzeba to odrzucić, niezależnie czy jest to pradawny rytuał, przesąd, czy inne ograniczenia.

— Odrzucić? — spytał jakiś głos z tłumu. — Nawet jeśli jest to Prawo Stada?

— Jedynym prawdziwym prawem jest to, które prowadzi do wolności — odrzekł Jonathan. — Nie ma innego.

— Oczekujesz od nas, byśmy latali tak jak ty — pytał inny głos. — Ale przecież ty jesteś wyjątkowy, utalentowany, boski, jesteś ptakiem ponad wszystkie ptaki.

— Spójrzcie na Fletchera, Lowella, Charle-sa-Rolanda! Czy oni też są wyjątkowi, utalentowani, boscy? Na pewno nie bardziej niż wy, nie bardziej niż ja. Jedyna różnica, jedna jedyna, tkwi w tym, że oni zaczynają już rozumieć, kim są naprawdę, i ćwiczyć się w tym.

Wszyscy uczniowie z wyjątkiem Fletchera poruszyli się niespokojnie. Nie wiedzieli, że tak przedstawia się to, co robili.

Tłum rósł z dnia na dzień, mewy przybywały, by pytać, ubóstwiać, a także by gardzić.

— W Stadzie pojawiły się głosy, że jeśli nie jesteś Synem Wielkiej Mewy — oznajmił Jonathanowi Fletcher pewnego ranka po Zaawansowanym Treningu Szybkości — to na pewno istniejesz jakieś tysiąc lat przed swoim czasem.

Jonathan westchnął. Oto jest cena, którą się płaci za to, że inni rozumieją cię na opak. Obwołają cię albo diabłem albo bogiem.

— A jak ty uważasz, Fletch? Czy istniejemy przed czasem? Zapadła długa cisza.

— Hm, ten styl latania istniał zawsze, a każdy, kto chciał, mógł się go nauczyć. To nie ma nic wspólnego z czasem. Wyprzedziliśmy może modę, styl latania większości mew.

— To już coś — powiedział Jonathan, zsuwając się na plecach w lot ślizgowy. — O wiele lepiej niż istnieć przed czasem.

Wydarzyło się to w niecały tydzień później. Fletcher demonstrował w grupie nowych uczniów elementy lotu z dużą szybkością. Wyszedł z lotu nurkowego z dwóch tysięcy metrów, mknął niczym szara strzała tuż nad plażą, gdy wtem dokładnie na jego drodze pojawił się młodziutki ptak, który szybując po raz pierwszy w powietrzu, szukał mamy.

Mając ułamek sekundy, by uniknąć zderzenia, Fletcher Lynd Seagull rzucił się ostrym wirażem w lewo i pędząc ponad trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę, uderzył w granitowy klif.

Skała wydała mu się jakby olbrzymimi, twardymi drzwiami do innego świata. Poczł wybuch strachu, przerażenia i ciemności, ale już po chwili unosił się na nieznanym niebie, zapominał, pamiętał i zapominał na nowo, pełen niepokoju, smutku i żalu, wielkiego żalu. Wtem dobiegł go tajemniczy głos, tak jak w dniu, kiedy po raz pierwszy spotkał Jonathana Livingstona Seagull.

— Problem w tym, Fletcher, że musimy próbować przewycięzać nasze ograniczenia w pewnym porządku, z cierpliwością. Latanie przez skałę jest przewidziane w programie nieco później.

— Jonathan!

— Znany również jako Syn Wielkiej Mewy — odparł nauczyciel ironicznie.

— Co ty tu robisz? W skałe?! Czy ja... umarłem?

— Och, Fletch, daj spokój. Tylko pomyśl. Jeśli rozmawiasz ze mną, to nie mogłeś umrzeć, prawda? Udało ci się jedynie zmienić poziom świadomości dosyć, powiedziałbym, gwałtownie. Wybór należy teraz do ciebie. Możesz tu zostać i uczyć się dalej na tym poziomie, swoją drogą znacznie wyższym od tego, który opuściłeś, lub też, wrócić i pracować dalej ze Stadem. Od pewnego już czasu Starszyzna oczekiwała, że wydarzy się jakaś tragedia, a teraz są przerażeni, że tak dobrze spełniłeś ich skryte życzenia.

— Naturalnie, że chcę wrócić do Stada. Dopiero co zacząłem pracować z tą nową grupą!

— Dobrze. A teraz, czy pamiętasz jak mówiliśmy, że nasze ciała nie są niczym więcej tylko myślą...

Fletcher potrząsnął głową, rozprostował skrzydła i otworzył oczy. Leżał u podnóża klifu otoczony przez całe Stado. Gdy się poruszył, w tłumie rozległa się wrzawa pisków i skrzeków.

— Żyje! Żyje ten, który umarł!

— Dotknął go końcówką skrzydła i przywrócił mu życie! Syn Wielkiej Mewy!

— Nie! On temu zaprzecza! To diabeł! DIABEŁ! Przyszedł, żeby zniszczyć Stado!

Cztery tysiące mew tłoczyło się, przerażone tym, co się wydarzyło, a okrzyk „Diabeł!” przeszył je jak huraganowy podmuch wiatru. Oczy zabłyły im złowrogo, ostre dzioby zacisnęły się.

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy się oddalili, Fletch? — spytał Jonathan.

— Z pewnością nie oponowałbym...

W tej samej chwili stali już o pół kilometra dalej, a dzioby motłochu natrafiły na puste powietrze.

Dlaczego tak się dzieje, zastanawiał się Jonathan, że najtrudniejszą rzeczą na świecie jest przekonanie ptaka, że jest wolny i że doświadczy tego, jeśli poświęci choć trochę czasu na ćwiczenia? Dlaczego to takie trudne?

Fletcher nie ochłonał jeszcze po nagłej zmianie otoczenia.

— Co zrobiłeś? W jaki sposób się tu dostaliśmy?

— Czy nie powiedziałeś, że chciałbyś znaleźć się z dala od tłumu?

— Tak, ale jak ty to...

— Tak jak wszystko, Fletcher. Kwestia wprawy.

Rankiem Stado nie pamiętało już o swoim obłędnym zachowaniu, ale Fletcher pamiętał. — Jonathanie, pamiętasz, co mówiłeś dawno temu, że trzeba tak mocno kochać Stado, by do niego wrócić i pomagać mu w nauce.

— Tak.

— Nie rozumiem, jak możesz kochać zgraję ptaków, która właśnie próbowała cię zabić?

— Och, Fletch. Oczywiście, że nie kocha się nienawiści i zła. Trzeba pracować nad sobą, by nauczyć się widzieć prawdziwe mewy, dobroć w każdej z nich, i pomóc im, żeby same ją w sobie widziały. Tak rozumiem miłość. Stanie się radością, gdy zaczniesz ją rozumieć. Pamiętam, na przykład, pewnego młodego, zaciętego ptaka. Miał na imię Fletcher Lynd Seagull. Skazany na banicję, chciał walczyć ze Stadem na śmierć i życie, budując dla siebie piekło na Dalekich Skałach. Oto i on, buduje dziś dla siebie niebo, prowadząc w tym kierunku całe Stado.

Fletcher obrócił się w stronę swojego nauczyciela. W jego oczach błysnął strach.

— Prowadząc całe Stado? Co masz na myśli, mówiąc, że prowadzę Stado? Ty jesteś tu nauczycielem. Nie możesz przecież odejść!

— Czyżby? Nie pomyślałeś, że może istnieją jeszcze inne stada, inny Fletcher potrzebujący nauczyciela bardziej niż ten, który jest już w drodze do światła.

— Ja? Jon, jestem tylko zwykłą mewą, a ty...

— ...jedynym Synem Wielkiej Mewy, zgadłem, czyż nie? — Jonathan westchnął i spojrzał w stronę morza. — Nie jestem ci już potrzebny. Każdego dnia po trochu poszukuj siebie dalej, siebie prawdziwego, niczym nie ograniczonego Fletchera. Odtąd to on będzie twoim nauczycielem. Musisz go zrozumieć i nad nim pracować. — Po chwili ciało Jonathana zakotłosało się w powietrzu, zalsniło, aż w końcu zaczęło stawać się przezroczyste. — Nie pozwól, żeby rozgłaszali głupie plotki ani żeby uczynili ze mnie boga, dobrze Fletch? Jestem zwykłą mewą. Lubię może latać...

— Jonathan!

— Biedny Fletch. Nie wierz w to, co mówią ci twoje oczy. Widzisz tylko niedoskonałość. Patrz ze zrozumieniem, zobacz, czego się już nauczyłeś, a odnajdziesz sposób, w jaki powinieneś latać.

Jasność zgasła i Jonathan rozpląnął się w powietrzu.

Po pewnym czasie Fletcher Gull dźwignął się w górę i stanął oko w oko z zupełnie nową grupą uczniów, którzy niecierpliwie czekali na swoją pierwszą lekcję.

— Po pierwsze — zaczął — musicie zrozumieć, że mewa jest nieograniczoną ideą Wolności, obrazem Wielkiej Mewy, a jej ciało, od jednego do drugiego końca skrzydeł, nie jest niczym innym tylko myślą.

Młode mewy spojrzały na niego zbite z tropu. Hej, pomyślały, to nie jest chyba przepis na wykonanie pętli.

Fletcher westchnął i zaczął jeszcze raz.

— Hm, zatem... dobrze — mruknął i zlustrował je krytycznym wzrokiem. — Zacznijmy od Prostego Lotu — a wypowiadając te słowa, zrozumiał, że jego przyjaciel istotnie nie był bardziej boski niż on sam.

Żadnych ograniczeń, Jonathanie? — pomyślał. Dobrze, w takim razie niedługo to ja pojawię się na twojej plaży i nauczę cię kilku nowych rzeczy!

Mimo że starał się sprawiać wrażenie ostrego nauczyciela, Fletcher Seagull ujrzał swoich uczniów na krótką chwilę takimi, jakimi byli naprawdę i nie tyle polubił, ile pokochał w nich to, co zobaczył. Żadnych ograniczeń, Jonathanie? — pomyślał i uśmiechnął się. Rozpoczął się dla niego wyścig do odkrywania.

Richard Bach